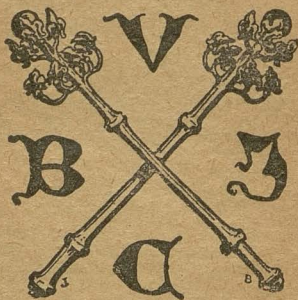




Kat. Koob.
26073

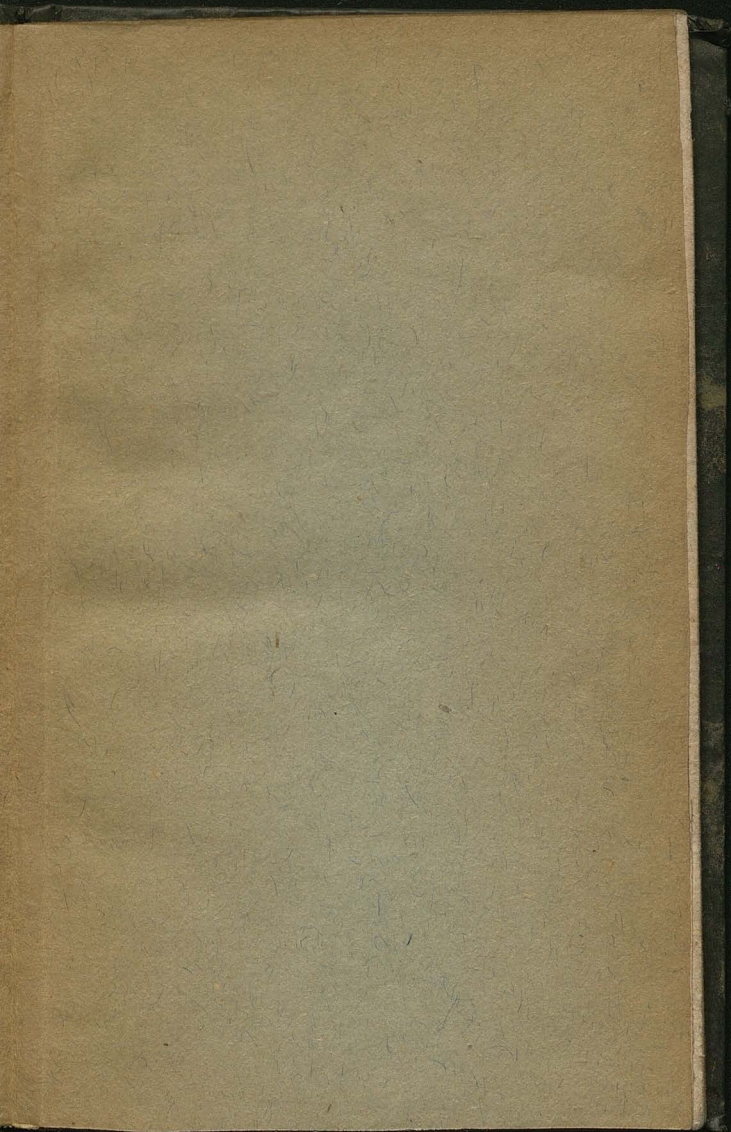
Mag. St. Dr.

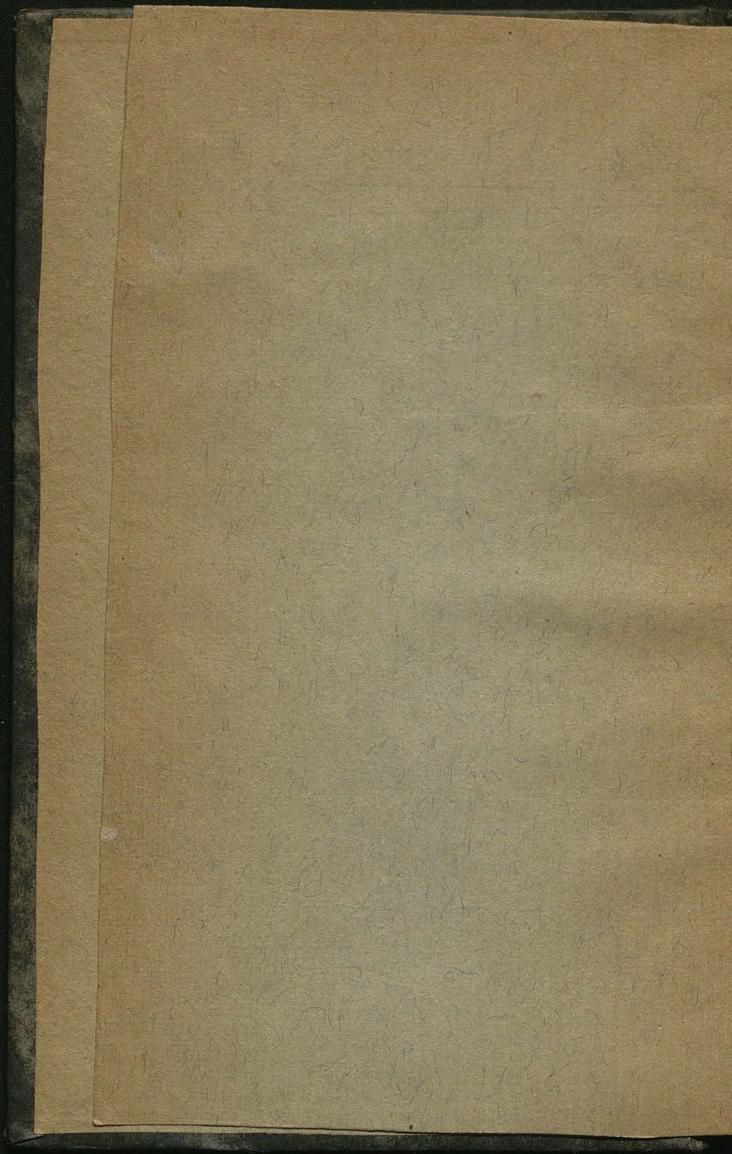
P



26073

1





Teatr 1780.

PRZYIAZD PANA

0345

K O M E D Y A

W JEDNYM AKCIE:

autor Büchl



W WARSZAWIE

W Drukarni Nadworney *J. K. H.*

1775

O S O B Y.

WALECZNICKI Generał.

ANZELM Syn iego pod imieniem
BARTKA.

POCZCIWSKI Starosta pod imieniem
PIOTRKA poczwiwego.

KRYSTYNA iego córka

KRADZIMIR Ekonom Walecznickiego.

WIERNISŁAW Stary sługa ANZELMA.

WŁODARZ

26073. I.

Teatrum reprezentuje wioskę, na
którey końcu widać o podal zamek, po
bokach chałupy, między innemi cha-
łupę Piotrka poczwiwego, a przy niej
chłodnik pod drzewem, w którym przy
arcium pierwszey Sceny widać Piotra-
żącego.



AKT

AKT JEDEN

SCENA I.

PIOTREK. Y KRYSTYNA.

PIOTREK *czyta dużą Księgę.*

TAK jest kochana córko. Wierz mi, iż człowiek nie może być biędnym zupełnie, kiedy z drogi cnoty nie ustępuje. Ona sama powinna nami rządzić: przez nią zwyciężamy nasze umartwienia, ona jest źródłem tej spokojności, w której dni nasze przepędzamy.

KRYSTYNA.

Przedząc mowi. Ah moy Oycze, co za szczęście jest dla mnie żyć z tobą: Twoje nauki, twoie oświecenia, kierowały dotąd moimi krokami. O jakbym była nieszczęśliwa, gdyby mię iaki srogi przypadek miał z tobą rozłączyć.

Przyjazd Pana
PIOTREK,

A przecież moja córko trzeba się do tego przygotować: Widzisz moy wiek skołatany. Niezczęśliwe moje w dawniejszym życiu przypadki, zbliżają mię co raz do tego momentu, którego dług śmiertelności muszę wyplacić. Ten moment byłby nayniezczęśliwszym dla mnie, gdybym nie był wcześniej upewniony o tym, iż cnota w twym sercu odemnie zaszczepiona, bierze wzrost pożądaný. To jest ie-dyne dziedzictwo, które ci mogę zo-
stawić.

KRYSTYNA

Płacząc. O Boże! ach moy Oycze, nie wspomnay mi tego momentu, bo mi się serce kraie: upewniam, że w krótce y iabym za tobą na tamten świat poszła,

PIOTREK.

Krystyno, y takż to skutek mych nauk, które ci dawałem? Ah moje dziecie, nie może odmienić wyroków naywyższey Opatrzności! Po-

wtarzam ci, że ten moment nie jest daleki. To tylko mię czyni niespokojnym, że ciebie samą zostawić muszę. Gospodarstwo nasze, nie jest zbyt wielkie: z tym wszystkim trzeba ci kogoś do pomocy. Już to od niejakiego czasu nad tym się zamyślam. Nasz Sąsiad Bartek, dobry młodzian, ma piękne, jobyżcie: kocham go. Ty się rumenisz ... mów mi, otworz twe serce przed twoim Oycem, przed twoim przyjacielem: godzien on twoiey poufałości. Coż rozumiesz? czy wart on ręki y serca moiey Krystyny?

KRYSTYNA.

Oycze moy, czyż możesz rozumieć, żebym ia chciała co przed tobą utzić? więc mówię! Nie mogę nigdy spojrzeć na Bartka bez...

PIOTREK.

Poczekay ... Oto nasz Włodarz. Rozmowiemy potym... ale y tak reszty dorozumięvam się. Dzień dobry, dobry dzień, nasz kumie. Siądźcie

Przyjazd Pana
 cie tu z nami. Coż to? co znaczą te
 ceremonie... te ukłony?

S C E N A II.

PIOTREK. WŁODARZ.

WŁODARZ.

O to Panie Kumie, wiecie dobrze,
 że cię cała wieś nasza kocha serdecznie,
 y szanuje. Ja sam prawdę mówiąc,
 choć jestem Włodarz, muszę to
 wyznać, że moja mądrość przeciwko
 twojej, kieby owo nic.

PIOTREK.

Mowicie, iż mię kochacie: coż tedy?
 na coż te ukłony? czyż tak czynią,
 którzy kochają?

WŁODARZ,

Bo widzicie, ja zawsze pamiętam,
 że choćmy ciebie nazywamy Piotrkim,
 ty jednakże już to temu, lat do-
 brze dwadzieścia, byłeś coś lepszego,
 niż my, wszyscy.

[PIO-

Komedyja.
PIOTREK.

7

Daycie temu pokoy kochany sasi-
dzie. Jednemu tobie zwierzyłem się,
czym iestem, a to dla tego, iż ieśliby
po moiey śmierci tego potrzeba była,
żebyś mógł opowiedzieć, a to wzglę-
dem moiey córki. Ale te moje na-
dzieie, iuż zniknęły na zawsze. Na-
zywacie mię Piotrkim pocziwym:
to imie stało się dla mnie barzo miłym
y drogim, nie chciałbym go przehan-
dlować na naywiększą fortunę. Day-
cież iuż pokòy tym ceremoniom, ieśli
nie chcecie mnie martwić.

WŁODARZ.

Niechże iuż y tak będzie, iak ka-
żecie: ale nie gniewaycie się na nas...
bo wolelibyśmy, iakem pocziwy, że-
by nasze pola grad stratował.. ale ie-
żeli chcecie, abym wam mówił, iak
owo chłop do chłopu, owoż ci powia-
dam, że przyszedłem tu prosić was
imieniem całej wioski o iedną łaskę.

PIOTREK.

Ah moi przyjaciele, czyż ieszcze o
tym

tym wątpicie, żem gotow wszystko dla waszey usługi czynić, cokolwiek ode mnie zawisło. Mowcież, o co tam chodzi?

WŁODARZ.

O to samo, co mi wszyscy mówili: idźcie, powiadali, idźcie do Piotrka poczciwego: to nasz Ociec, to y dziatek naszych Ociec. On nas godzi, on naucza naszych bębnow, on ich tak mądrymi poczynił, że y Pan Organista już nie mędrszy od nich. Idźcie wołali na mnie, idźcie, proście go, aby nam dał swoję radę, bo my bez niego jakie głupstwo uczyniemy: Oto tak oni wszyscy, co do jednego, wołali na mnie: iam też poszedł was prosić.

PIOTREK.

Dziatki moje kochane, mili moi sąsiedzi, co za pociecha dla mnie! Serce mi się zradości rozplywa! Ale mowże mi, co mam dla was uczynić.

WŁODARZ.

Otoż tak Panie Kumie! Pan Kradzi-
mir

Komedyja.

9

mir Ekonom kupił teraz tę wioskę; y
on już będzie naszym Panem.

PIOTREK.

Coż daley?

WŁODARZ.

Ba nie tak: inaczey miałem mowić:
nie Pan Ekonom kupił tę wioskę, ale
Pan Ekonom kupił ją nie dla siebie, on
ją kupił dla swojego Pana, a ten Pan,
ma być wielki Pan, a my ieszcze nie
wiemy, iak się on zowie.

PIOTREK.

Coż potym?

WŁODARZ.

Ten Pan wielki, ma tu, nie bawiać
przyiechać; ba dzś ci to po południu
przyiedzie. Chcielibyśmy... Chcieli-
byśmy pokazać iemu naszą konfiden-
cyą; żeby to tak można go przyiać, y
przywitać z iaką piękną ceremonią...
ową to iakaś... iakaś... wy to lepiey
znacie. Pouprzątałiśmy wszystko czy-
sto, y chędogo... Działki nasze poubie-
raliśmy w sukienki świeteczne, iak kie-
dy owo chodzą do Kościoła w Niedzie-
le: re-

le: robią one z pięknych kwiateczkow wianai. Teraz prosiewy was, abyście to wszystko ładnie rozrządzili, y pięknie; a to dla tego, żeby wszystko było dobrze, a nie źle.

PIOTREK.

Zgoda: z całego serca: będę się z wami dzielił tą powłzechną radością, y co będę mógł, to wszystko dla was uczynię. Oto tak byłoby dobrze. Niech tuteviza młodzież wyledzie konno na granicę: wy ją poprowadzicie, y przywitacie Pana. A ia z innemi tey wioski staruszkami przywitam go na wieździe do niey. Potym dzieci z swoimi wiankami... Dobrze tak... wyśmieniacie... Przychodził mi na myśl, żeby to iakie wesele wievskie... nie odkładaymy tego... podacie się dołta sposobność... Idźcież Panie Włodarzu: przyzlicie mi tu wasze dzieci, niech czym prędzey tu przychodzą z swoimi wiankami. Już ia będę wiedział, co czynić.

WŁODAN.

Ah kochany Kumle, iakście poczciwy. Wszyscy ci za to podziękujemy pięknie, Biegę po nasze działki.

S C E N A III.

PIOTREK sam.

O iak ia lubię tych poczciwych wieśniaków. Przed moim tu przybyciem ledwie dwóch było sąsiadów, którzy z sobą żyli spokojnie. Jam sobie wymyślił tu zabawkę, uczyć dzieci. Powoli y sami rodzice przychodzili mnie słuchać. Nabyłem przez to ich poufałości. Pogodziłem ich wszystkich. Z y a spokojni, a ia szczęśliwy... ale trzeba tu pomyśleć nad moim projektem. Jestem już zupełnie przeświadczony, że Bartek kocha mą córkę, y ona jest z wzajemnym ku niemu sercem. Rozmowę z nim. Jeżeli ten nowy Pan ma serce czułe, nie będzie
mógł

mógł obojętnym poglądać okiem na tę radość, która się y na twarzy wydaie dwóch osob ferdecznie siebie kochających. Jego ztąd ukontentowanie rozplynie się y na poddanych serca. To iest naylepszy sposob przyimowania kochających ludzkość. *Puka do chałupy sąsiedzkiej.*

S C E N A IV.

PIOTREK. BARTEK.

BARTEK.

Ah to ty moy Oycze. Coż mam dla twoiey przyślugi uczynić?

PIOTREK.

Dobry dzień moy przyjacielu: iak się macie, niewidziałem was wczora: czyś nie chorował? Jam się turbował o ciebie, y moja córka ze mną.

BARTEK.

Kto? y córka mowicie?

PIO.

PIOTREK.

Tak jest przyjacielu, y córka moia:
coż się o to pytacie?

BARTEK.

To tylko tak...

PIOTREK.

Czyście się nie pokłócili? Pewnie
się tobie przykrzą naże wieczorne czy-
tania?

BARTEK.

Ah bynajmniey: y owszem.

PIOTREK.

Posłuchay Bartku. Jestem iuż stary.
Znałem ia z młodości lat moich te
wszystkie wybiegi, ktore świat wielki
nazywa grzecznością. Widziałem, że
to wszystko ni na co się nie przyda. Je-
stem stary, mówię ci to ieszeze raz:
jestem serca otwartege, y chciałbym,
żebyś y ty w tym ku mnie pokazał
wzajemność. Ale przyśtąpmy do rze-
czy. Nie rozumiey, żebym się ia my-
lił w tym, co się do ciebie ściąga. Nie
inaczey: Od pierwszego momentu,
kiedys to domostwo na przeciwko mnie
kupił,

kupił, poznałem, y z postępku, y z miny, że ani ty, ani ten co się twym Stryem mianuje, nie jesteście takimi, iakimi się być pokazujecie. Znam dobrze, żeś się nie do tego, w którym żyjeź, stanu urodził.

BARTEK.

Ala iakże to?

PIOTREK.

Nie inaczej. Teraźniejszy twój stan nie jest tobie przyzwoity. Ah mój synu, otworz przedemną twe serce: Z pierwszego widzenia twej ołoby, zaraz me serce przylgnęło do ciebie. Im barziej cię poznawałem, tym iasniej widziałem, że twoie cnoty warte są ołobliwszego szacunku. Posłuchayże me dziecie; inż ia iedną nogą stoię w grobi. Mam córkę iedyną: nie jest ona bogata, ale ma cnoty. Mocno się frałuję, gdy myślę, że ona zołtanie sama, bez żadney pomocy. Kochany przyiacielu, mamże ci mowić iasnie? Tyś jest, na ktorego ia oczy moje obrocilem: zdaie mi się, że nie masz od
niev

niey wstrętu. Coż? zgadłem? albo się pomyliłem?

BARTEK.

Z radością ścisła za szyję Piotrka.

Ah moy Oycze! coż to za lzcześnie dla mnie! Prawda jest: wyznaię kocham serdecznie nieofzacowaną Krystynę, Procz iey, nic mię na tym świecie uszczęśliwić nie może. Otoż masz moy sekret, który mi dotąd tak ciężył na sercu. Z tym wszystkim, czyż mogę być pewny, że kochana Krystyna, nie z posłuszeństwa iedynie poydzie za twoią wolą? że mię kocha bez przymusu prawdziwie...

PIOTREK.

To do ciebie należy moy Synu. Krystyna jest moią corką; nie jest niewolnicą. Kocham ją z całego serca. Z tym wszystkim; nie rozumiey, żebym ia miał na to zezwolić, ieśli dowiem się, że iesteś wyższego niż ona urodzenia. Nie Mos Panie; ia niechcę tego, żebyś miał potym kiedy wyrzucać na oczy mey còroe iey stan, w którym ją widział,

Przyjazd Pana
BARTEK.

[Na coż mam zmyślać] Oycze mōy; dla ciebie nie ma w mym sercu żadnego sekretu. Jeżeli moja postać, y moje postęпки zdają się być tobie nie pospolite, y wyższe nad moy stan, to pochodzi z wychowania moiego, nie zaś z wylokiego urodzenia. Jam się urodził w wiosce na Zmudzi. Postać moia podobiała się iey Panu. Wziął mię tedy za chłopca do Syna swoiego, y oddał mię z nim do szkoły. Moy młody Pan był tego zdania, iż będąc godnie urodzonym, y bogatym, mogli się obeyść bez nauk: iam zaś przeciwnie rozumiał, że mi nauka pomoże do lepszey fortuny. Zylem tam dość wygodnie y spokojnie zostając inż przy Dworze Oyca. Ale ten Pan dobry nie bawiąc potym umarł. Nie zapomniał iednak o mnie, bo w nadgrode mych zasług uwolnił mię z poddaństwa, y zapisał mi dość dobrą sumkę przez swoy testament. Ta wspaniałość serca Oycowskiego, sprowadziła na mnie nienawiść Syna;

Syna. Prześladował mię iak mógł, y przeciwko życiu moiemu coś zamyślał. Unikałąc więc skutkow iego zapalczywości, oddaliłem się z tamtego kraiu. Ociec moy iuż nie żył: Stryi moy, ktory jest tu ze mną, służył w Regimencie: iam się postarał o iego uwolnienie, y zapłaciłem za abszeyt. Miłość ku naukom zawsze w mym sercu górowała, przetoż szukałem miejsca, gdziebym mógł osieść y prowadzić życie spokoyne, ile że mi te pieniądze, ktorem miał przy sobie, łatwość w tym czyniły. Przypadek zaprowadził mię do tey wsi. Imię Piotrka poczciwego brzmiało w uścicach wszytskich tuteyszych obywatelow. Nayuboższy, częścią wspomniony od ciebie moy Oycze, częścią gospodarstwa nauczony, przyśzedł do dobrego majątku. Widziałem ciebie, widziałem Krystynę; czyż trzeba było większey mi pobudki, abym tu obramieszkanie, ile że w tey wiosce y wol-

Di ludzie, bez utraty swej wolności o-
fiadać y mieszkać mogą.

PIOTREK.

Uściskayże mię mój Zięciu kocha-
ny. Nasz nowy Pan, ma tu przybyć
dziś w wieczor. Chciałbym dla niego
małą uroczyłość sprawić. Chcę że-
by on widział wesele wieykie. Ty
będziesz Oblubieńcem, a moja córka
twoją Oblubienicą. To będzie tylko
igraśzka; jeśli na to nie zechcełz ze-
zwolić, bo moja córka jest wolna. Po-
wtarzan com mówił: rozmowie się
z sobą, zaraz ia tu ją przyślę: a po-
tym będę cię czekał na końcu wioski,
gdzie chcę wystawić bramę z drzewa
zielonego. *Olehdzi; potym powraca
zaraz.* Uczyniłem przedsięwzięcie te-
licze raz w mym życiu tańcować, a to
na weselu mey córki: sprawże to, a-
bym tego wieczora potańcował. Pro-
szę cię o to, mój dobry przyjacielu.
Sciskaią się.

S C E N A V.

BARTEK, WIERNISŁAW.

BARTEK.

Ah coż to za szczęście dla mnie!
 O dniu pożądanym! ale razem iaki
 wstyd dla mnie! musiałem choć nie-
 chcący zmyślić fałszywą o sobie hi-
 storyą, abym oszukał tego człowieka,
 którego tak kocham, y tak poważam...
 to prawda... a do tego, co ja powiem
 przed moim Oycem... ha... wyłatawszy
 mię dobrze, da potym pokoy. Taki
 to jest wżyskikh hałasnikow zwyczaj
 Wszak y po naywiększey burzy, na-
 stępuje pogoda. *Wiernisław nadchodzi.*
 Wiernisławu moy, niechże cię uściskam...
 ieżczej raz.

WIERNISŁAW.

Pr. pr. Coż to do stu katow? z kąd
 ta radość? przecież... ale głowa moja.

BARTEK.

W życiu moim nie byłem tak we-
 sol, y tak szczęśliwy.

Przyjazd Pana
WIERNISŁAW.

A ja w życiu moim nie byłem tak zły, widząc że te wżytkaie W M. Pa na dziwaćwa, ieszcze się nie kończą.

BARTEK.

Iuż się też żenię.

WIERNISŁAW

Co? iak to?

BARTEK.

Dzisieyszego wieczora.

WIERNISŁAW

Z kim u kata?

BARTEK.

Eh starcze plugawy... z nieoszacowaną moią Krystynką.

WIERNISŁAW

Otoż to pięknie! zginałem, zginałem na wieki! Zenić się? tego nam tylko nie dostawało. Posłuchay W M. Pan Mospanie, Byłem przytym kiedyś się W M. Pan rodził. Te ręce ie go piasłowały. Miey W M. Pan wzgląd na swoy honor: iesłeś aktualnym Potkownikiem. Jam rozumiał, że się to skończy na żartach...

BAR-

Kornelia.
BARTEK.

21

Dayże mi pokoy z twoim upomina-
niem... bo..

WIERNISŁAW

Nie... ia Mospanie.. Ja nic... ale tak...
mow WM. Pan podłog sumnienia. Co
WM. Pan przeszley Jesieni tedy prze-
chodząc z (wym Regimentem, zamy-
ślał? Pamiętasz WM. Pan kiedyś się
pytał swego Adiutanta, bodayby go
choroba... czy będzie dość dla tej Kry-
styny 50 Czerw: Zł: Jakim to koń-
cem...

BARTEK.

Milcz mi.. Zawszem uczciw ość ko-
chał. To prawda, wyznaię, że iey pię-
kność nie wypowiedzianie mię zadzi-
wiła, kiedym widział ją u nog moich,
skarzącą się o jakieś tam krzywdy przez
ludzi moich poczynione. Zaraz ka-
załem ukarać winowaycow. O a po-
wtornie mi do nog upadła. Te łzy,
ktore pod ten czas z iey pięknych o-
czu płynęły, y cwe słodkie za wino-
waycami przepraszanie, przeniknęły
me

me serce, y ziednały darowanie im kary. Jednakże w nadgrode tę szkody, ofiarowałem iey moy worek z pieniędzmi. Ona, żeby się nie zdawała gardzić mą łaską, wyieła ze wzelką skromnością kilka Złotych. Nie mogłem iey uprosić, aby więcej wzięła, a gdym o to zaczął mocno nalegać, uciekla, a w mym sercu tak mocny płomień zostawiła, że go nigdy ugasić nie potrafię,

WIERNISŁAW

Ey wiem ia to dobrze, ale pomyśl Wm Pan Mos Panie, co będzie, gdy Oyciec Wm Pana o tym się dowie. Cała burza na mą głowę obroci się. Już mi się zda, że on mię za gardło porwawłszy dusi, a z wierzchu grzbiet moy kiiem szlifunie... Ah Mos Panie, zmiłuy się WM. Pan nademną, zmiłuy się nad sobą...

BARTEK.

Coż? y nie będziesz ty dziś milczał? jeśli mi gębę ielźcze otworzysz... ale oto Krystynka moja.

SCENA VI.

[BARTEK, KRISTYNA.

Wychodzi z domu niosąc Koszyk z kwiatami. Siada w chłodniku, y z kwiatkow wianki uklada.

BARTEK.

Na fronie, Ot ż ona. Co za piękność! Czyż może mi kto mieć za występpek, że kocham to, co natura najdoskonaley wykształciła?

KRISTYNA

Nie widząc Bartka. Ten Włodarz jest ladaco, że nam tak późno oznaymił o przybyciu Pana. W tak krotkim czasie, nie można zrobić co pięknego.

BARTEK.

Stawa za Chłodnikiem. Ona mnie nie widzi: posłucham co gada.

KRISTYNA.

Ale z kąd ta myśl przyszła Oycu mojemu, żebym ja dziś udawała Osobe

bę Oblubienicy? Bartek moy Oblubieniec! Ah Boże! nie będzie z tego nic.

BARTEK.

Tegom się lękał. Ona mnie nie lubi.

KRYSTYNA.

Nie myślmy już o tym, robmy wianek, który mam Panu ofiarować. Ta róża, ten goździk, trochę rozmarynu... Dobrze tak będzie. *Krystyna wyciąga rękę bukiet trzymającą ku tej stronie, gdzie Bartek stoi utajony, iakby chcąc widzieć, czy dobrze w tym wianku kwiatki wydaią się.* Bartek całuje rękę, y kryje się. Ah... któż to mię w rękę pocałował? Jeżeli to tylko niedusza iaka... oh gdyby to Oyciec moy slyżał, połajalby mię za te zabobony... obaczmy... ah... to ty Bartku! o iakżeś mię przestraszył! idź sobie; swawolny jesteś.

BARTEK.

Daruy mi, naymilsza, y nieoszacoż wana Krystynko moja. Mnie się zda, że się nie gniewasz za ten moy figielek, którym ci wyrządził.

KRY-

KRYSTYNA.

A kto ci mowił, że się nie gniewam?

BARTEK.

Twoie oczki, te piękne oczki, które...

KRYSTYNA,

Co to za ludzie ci męszczyzni, którzy rozumieją, iż mogą wszystko z oczu poznawać. Otoż żebyś wiedział, moje oczy powinny mieć mleczę zagniewaną, zmarszczoną, a żebyś się nauczył, iak masz postępować.

BARTEK.

Mów co chcesz moja Krystyno, z tym wszystkim, ia z nich doskonale poznaię piękną twą duszę. Znajduię, w nich słodycz, dobroć, y serce litości pełne dla niezczęśliwych: czyż mogą one być okrutnemi dla tego tylko, który cię serdecznie kocha, który cię tak poważa...

KRYSTYNA

Ale mowmyż o czym innym, proszę cię.

BAR-

Przyjazd Pana
BARTEK.

Nie, najmilsza Krystyno. Od tego momentu zawisło moje uszczęśliwienie. W twoich to ręku jest, uczynić mię dzisiaj najszczęśliwszym na zawzde, albo wrazić w me serce szpilet, w te serce, które jest całe zatopione w twoiey piękności.

KRYSTYNA.

[O tak się mieszam!] moy Bartku, skończ proszę tę mowę, ktorey mi słuchać nie godzi się. Coby rzekł Ociec moy, który ma taką do ciebie poufałość?

BARTEK.

Ociec ci to sam twey, kochana Krystynko dodał mi tey śmiałości, y pozwolił, abym ci oświadczył, czystą moję, y nayżywłą miłość. Posłuchay mię proszę: Dziś w eczorem nasz Pan tu przybędzie. Twoy Ociec układa tego tu przyjęcie. Chce on przed nim okazać wesele wieyskie. Oblubieniec y Oblubienica, mają mu kwieciste wieńce oddawać. My do tego wyzna-

czeni jesteſmy. Będziemy udawali
Osoby oblubieńcow. Kryſtyno moja,
niechże dla mego uſzczęśliwienia, nie
będzie to udawanie płoſne tylko, y na
pozor! Odpowiedz mi moja Kryſtyno:
cheeſzli mey ſmierci?

KRYSTYNA.

[Kto wie czy on ieſt ſzczery; mo-
że to tylko udaie] Poſłuchay moy Bar-
tku: Zeby to inna była, toby umiała
inaczej rzecz ſwoię udać: powiedzia-
łaby, że ieſzcze nie zna twoiey ku ſo-
bie uprzejmoſci. Ja zaś od poczi-
wego Oycy wychowana, brzydę ſię
wſzelkim kłamſtwem, y obłudą. Więć
powiem ci ſzczerze, że iuż od dawne-
go czasu poſtrzegłam w tobie ſerce
do mnie przychylne. Wyznaię, że
tego bez trudności dociekła. Twoje
uſzanowanie ku Oycu moiemu, nay-
pierwiej mię do ciebie zaczęło po-
ciągać. A potym im bardziej cię po-
zuwalałam, tymem cię bardziej powa-
żała: dopomógł mi też do tego, y moy
Ociec. Ale pierwey nim ci odpowiem,
zaplać

Przyjazd Pana

zapłać mi wzajemnością: bądź szczerym: czy mogę ufać że jesteś takim?.. Ty na mnie poglądasz... prawda, jakieś podobieństwo, sprawowało zawsze we mnie to rozumienie...

BARTEK.

[A któż tu może wytrzymać] o to mnie widzisz u nog twoich nieoszacowana Krystyno: wyznaię, że mię do tych zamyślow miłość najozystsza przyprowadziła. Wiedz że tedy, że ja jestem..

S C E N A VII

KRADZIMIR. WŁODARZ. BARTEK Y KRYSTYNA.

KRADZIMIR.

Pięknie moje dziatki! przedziwnie! Włodarzu, co to są za jedni?

WŁODARZ.

Są to Moi Panie, widzisz WM. Pan, co to na dzisiejszym weselu, mają udawać

wac

wać panow młodych; niby to co się;
za pozwoleniem, mają żenić.

KRADZIMIR.

Oni jako widzę udaia już wyśmie-
nicie twoie role. Bierze pod brode
Krystynę. Coż tam moja biedna? D. y
go katu: nie trzeba być tak dziką, bo
to pachnie prostactwem. Nuże, nuż
przedzey, uściskay mię... Ah niechcelz
moie dziecie? Mnieysza oto: rozu-
miem. rozumiem; nie chcesz przy nim..
Siuchay panie młody, idź na koniec
wioski, dowiedz się, czy nie potrzebu-
ją tam ciebie. No... Idź że mi zaraz, do
kogoż ia to mówię?

BARTEK.

Do człowieka, który się nie barzo
buduje z grzeczności WM. Pana, y
który mniey dbałby o tę jego mowę,
g tybyś WM. Pan nie wykraczał prze-
ciwko względowi winnemu tey cno-
tliwej dziewczyny. Odeydź z tą
moia Krystyno, oznaym Oycu swole-
mu, bo do niego zapewne musi mieć
Jegomość interes.

KRY.

Przyjazd Pana
KRYSTYNA.

Ukloniwszy się odchodzi mówiąc. Co za człowiek! iakież to iego obyczaje!

SCENA VIII.

*Pod czas tej Sceny widać panienki strojące
teatrum wieńcami kwiecistemi, a nadat
arkadę z gałęzi zielonych.*

KRADZIMIR. BARTEK.
WŁODARZ.

KRADZIMIR.

Day go katu, jesteś iak widzę bar-
zo wymowny mój przyjacielu. Nie-
spodziewałem się tego! To jest rzecz
piękna, ale wiedz o tym, że ten ton
mowienia mnie się nie podoba. Wła-
śnie też to przystoi, żeby ieden Łay-
dak...

BARTEK.

Mos Panie... grożąc.

WŁODARZ.

Ey milozcie Bartku: czy to ten
dzień do tego..

KRA DZIMIR.

Szczęście to twoje, że czas jest krotki: kto inny miałby wziąć na się Osobę Pana młodego. Ale poczekaj ieno, nauczę ja ciebie, jak masz ze mną postępować. Zapłacisz mi wkrótce za takie nieufzanowanie moiey Osoby. Co to za śmiałość! Jeden Chłop...

BARTEK.

Mospanie; trzeba żebyś wiedział, że choć mieszkam w tey wsi, nie jestem jednak ani niewolnik, ani poddany. Jestem człek wolny. Osiadłem tu z moiey ochoty, płacę od gruntu co należy, y każdego czasu mogę się ztąd wynieść. Inaczey tedy należy ze mną postępować. Poczciwi Ekonomowie, y poddanych nawet tak nie znieważają. Ale daymy dziś temu pokoy. Roznowiemy jutro: poznasz że y pod ubogą łachmaną może być człowiek uczeiwy, a pod galonami łaydak. *Odchodzi.*

S C E N A IX.

KRADZIMIR. WŁODARZ.

KRADZIMIR,

Day go katu, iak tu lud rozpieszczony! Jaka zuchwałość tego młodzika! Ja jestem nadto dobry, żem to zniosł cierpliwie. Nie zawsze to tak będzie. Włodarzu co na to mówisz? Jeden chłoppek ze mną.. ze mną?

WŁODARZ.

Widzicie Mci Panie, bo to jeszcze młody, a do tego z przeproszeniem WM. Pana, rozkochał się. Dobrze to powiadają, że nie zawsze y prawdę mówić należy.

KRADZIMIR.

Owoż drugi z swoją tą prawdą! ale radbym wiedział, co wy za ludzie jesteście?

WŁODARZ.

Ja z przeproszeniem Waszmości jestem Włodarz. Bo widzisz Waszmość,

mość nasz Pan nieboszczyk, niech tam w niebie odpoczywa, nadał nam wszystkim w tey wiosce wolność: y dla tegoć to tu ludzie osiadaią, y Bogu dzięki, mają y w Stodole, y na polu: y Panu dobrze, y nam nie źle. My nie tak, iak to u tonych Panow, co to chłopi, gorzey iak niewolnicy, y nic nie umieją. O to y ja sam nie dudek, umiem czytać, y byłbym tu naymędrszy, gdyby Piotrek pocziwy tu nie był: dla niego, ja nie iezdem ...

KRADZIMIR.

Jesteś Ofiel... Ale podobno to Idzie ow Piotrek pocziwy o którym tak wiele slyszalem... Dobrydzień przyjacielu: Wy to jesteście, co macie Pana witać? Zapewne mu powiecie wiele pięknych rzeczy.

S C E N A X.

KRADZIMIR. PIOTREK. WŁODARZ.

PIOTREK.

Ja bym mu rad to tylko powiedział,

co mam w sercu. Mnie się zdaje, że ten jest najlepszy sposób witania.

KRADZIMIR.

(To jakiś poważny Staruszek!)
Pocziwy człecze, będziesz miał dobrego Pana.

PIOTREK.

Y on też w nas znajdzie dobrych poddanych, jeżeli zechce.

KRADZIMIR.

Jak to, jeżeli zechce?

PIOTREK.

Tak jest Mci Panie; jeżeli zechce tak z nami postępować, iak Ociec z dziećmi, jeżeli nam pozwoli tak siebie szanować, y kochać, iak Oycę, upewniam, że wszyscy co do jednego, będziemy go, iak to mówią, na ręku naszych nosili. Ale jeżeli on będzie dawał władzę, którą mu Opatrzność najwyższa powierzyła, takim sługom, którzy nas wycięzają, będą przed nim czernili, to my w oczach jego będziemy się wydawali, iako ludzie zli y nieszczęśliwi.

WŁO.

WŁODARZ.

Albom nie mówił Mci Panie, że ten
człek tak gada, iakby czytał.

PIOTREK.

Ja podobno nie mylę się, że WM.
Pan będziez u naszego Pana Ekono-
mem: bądź że WM. Pan wczelnie świad-
kiem naszej ufilności, z którą po-
dlug możności naszej, staramy się te-
go Pana przyjąć. Patrz WM. Pan,
iak niewinne dziatki uścielają kwia-
tami tę drogę, przez którą on ma ie-
chać: ich słabe rączki dobierają kwia-
tkow z tą czytą y szczerą radością,
ktora ich niewinności jest prawdzi-
wym wyobrażeniem. Co się tycze
WM. Pana, który te dobra obeymo-
wałeś, y oglądałeś nasze pola, racz
mu wczelne dać tego świadectwo, że
iego poddani są dobrimi rolnikami.
Bog dobrotliwy pracy rąk naszych
pobłogosławił.

KRĄDZIMIR.

(Ten poczciwy Staruszek otwie-
ra mi oczy, y daie mi poznawać, że

ow młody chłopiek nie zle mi mowił) Prawda moy Staruszkcu, powinienem w tym uczynić wam sprawiedliwość, że ia nigdzie niewidzialem takiej na polu obfitości, ani tak dobrego w gospodarstwie porządku...

WŁODARZ,

A to wszystko winniśmy temu pocziwemu Piótrkowi. On skoro tu osiadł, począł nas innego, iak bywało, uczyć gospodarstwa: my się smieli z niego: y mowiliśmy. Oycowie, dziadowie y pradziadowie nasi tak nie gospodarowali, a żyli: nie chcieliśmy tedy tak czynić iak nas nauczał. On na to nieuważając, począł po swoiemu koło roli, y innego gospodarstwa chodzić: a my na to patrząc smieliśmy się serdecznie, y mowiliśmy sobie, obaczym co z tego będzie, co nasz Filozof robi. Miia rok, miia drugi, patrzym, aż tu nie smiech. Gdzie u Pana Boga, iego pole od naszego! Kiedy u nas kopa, to u niego dwie, albo y trzy. Rozumieliśmy że to czary iakie

jakie: profiliśmy aby nam pokazał, on pokazał; ale to nie były czary. Pozna-
 liśmy że iego gospodarstwo było lepsze
 niż nasze, bo z niego drugie tyle, ba
 y troje tyle miewamy jak dawnych
 czasow miewaliśmy. Oy to Mei Pa-
 nie jest nasz Ociec; iemu wżytko
 winniśmy.

KRADZIMIR

W samey rzeczy poznaję, że ten
 staruszek, może nas wżyśtkich uczyć.
 (*Słychać strzelanie*) Coż to? Pan
 widzę przyjeżdża? Idźmy na iego
 spotkanie. *Wychodzi z Włodarzem.*
Chłopi, y Kobiety zbiegają się, y szyku-
ją się z obu stron, koło bramy wystawio-
ney, Piotrek ich szykuie mówiąc.

PIOTREK.

Daley Przyjaciele. Uprzedzono
 nas: nadgrodziemy to dobrym ferceem
 y wesolością naszą. Wy dziatki, bieź-
 cie po Pana młodego, a chłopcy niech
 idą po Panne młodą, y prowadźcie
 ich tu z swołą muzyką, skoro Pan
 przybędzie.

[SCE.

SCENA XI.

WALECZNICKI. KRADZIMIR.
WŁODARZ. PIOTREK. y ludzie
Walecznickiego.

*Walecznicki wchodzi przy odgłosie Mu-
zyki Wiejskiej. Przed nim idą dzie-
wczęta uscielając mu drogę kwiatami.*

WALECZNICKI.

Dzień dobry moie dziatki, dzień
dobry, Dziękuję wam za dobre serce,
z którym mię przyinuicie.

KRADZIMIR.

Oto Włodarz, który chce złożyć
swoie powitanie.

WALECZNICKI.

Dobrze: wy to przyiacielu jeste-
ście Włodarzem tey wioski?

WŁODARZ.

Tak jest Jaśnie Wielmożny! Miel
Panie, y, iako Włodarz, to mówię Wa-

izmo.

szmości y witam serdecznie, Kiedy owo nasz przeszły Pan był umarł. niech tam w niebie odpoczywa; barzo nam było smutno y markotno; ale to tak smutno, żeśmy wszyscy nosy pospuszczali, mowiliśmy tak z sobą, iako to y z naszymi sąsiadami: Day go katu, o to już nie żyje nasz Pan, nie żyje nasz Ociec. Dobry to był Pan, wielka szkoda. Zostawił on barzo wiele Dziedzicow: oh zapewne oni przedadzą tę wioskę. Dalby to Bog żeby się ona w poczciwe ręce dostała; niech nas Pan Bog broni od złego Pana. Tak my sobie Mci Panie zszedrzy się gadali. Pan Bog nas wysłuchał. Owoż już mamy dobrego Pana, który będzie naszym Opiekunem, naszym Oycem, naszym, naszym....

WALECZNICKI.

Rozumiem dziatki waszym przyjacielem, Bądźcie pewni, że nie Tyran. Wiele dobrych rzeczy mowiono mi o was moi przyjaciele, y toć to naybarziej mię pobudziło, do kupienia tey Wioski.

WŁO.

Przyjazd Pana
WŁODARZ.

Oh ledwie temu lat dwadzieścia, iakżeśmy tu wszyscy byli mizerakami: nie mieliś ny prawie co ieść. Owoż Mci Panie, oto ten człowiek pocziwy, zrobił nas szczęśliwemi. Teraz przecie iako tako żyjemy sobie, y biedy nie znamy. On nas go podarstwa on dzieci naszych czytać wyuczył: my sami do niego iak do Oycy po radę bieżemy, kiedy człek nie wie sam co czynić....

WALECZNICKI.

Przystąp do mnie kochany moy Staruszk, niech cię uściskam. Chcę być y ia w liczbie tych moich nowych dziątek, abym ci ofwiadczył tę wdzięczność, y poszanowanie, którą widzę w oczach tych wszystkich ludzi pocziwych. Będiesz mnie samego uczył. tak iest: nie śniey się przyjacielu. Czy rozumiesz, że ktory stary żołnierz, dbał kiedy o rolnictwo, lub o gospodarstwo? Odtąd będzie to moją iedyną zabawą. Jużem postanowił.

Mo-

Mówię ci tedy, że będziesz mię uczył. Nie jednemu z niewinnych podczas wojny za skórę zalałem: Oh to bywa pospolicie! Oy byłem ia byłem swego czasu, ieszcze gorzszym, niż mój pan: więcej nic nie mówię, chcę teraz czynić pokutę, ale pokutę miłą, bo na to będę iedynie pracował, abym was moi przyjaciele, ieszcze i szczęśliwzemi uczynił.

PIOTREK.

Ach Mos Panie: takowe zdania Wm Pana, pokazują w nim umysł wyższy ieszcze nad zacność urodzenia iego... Ja mam Wm Pana Pana uczyć, y oświecać... chyba w tym, żebyś poznął, co się w sercach naszych zawiera. Te łzy, które radość wszystkim tu wyciska, są holdem daleko inszym od tego, który podle pochlebstwo zwykło oświadczać. Ey moi przyjaciele, moi sąsiedzi, idźcie idźcie śmiało za powodem łec waszych, możecie to uczynić, i a ręczę: ucałujemy tę rękę, którą ku wam wyciąga, iest to ręka Oycy dobrotliwego. Niech wasze usta oświadc.

Świadczą radość powszechną: powtarzajcie ze mną. vivat nasz Pan, vivat Pan dobry, vivat nasz Oyciec' *Wszyscy Chłopi cisną się do ucałowania ręki Pańskiej powtarzając wiwaty.*

WALECZNICKI.

Stoycie, poczekajcie moje dziatki! Zfolguycie mnie trochę: O iak was kocham. Oczy moje nie zwyczajne do płaczu, już się łzami zalały. Stało się. Wy y ia będziemy jedną familią.

PIOTREK

Dla dopełnienia tey łaskawey obietnicy racz przyjąć nasz Pynie na siebie urząd głowy tey familii, względem dwoyga oblubieńców. Związek mający ich łączyć, będzie szczęśliwy: ieśli twoia ręka Oycowska ich złączy.

WALECZNICKI,

Gdzie są te moje dziatki?

PIOTREK.

Oto idą Mci Panie,

SCE.

S C E N A XII.

KRYSTYNA BARTEK y ciż sami.

Chłopcy przy odgłosie muzyki¹ prowadzą Pannę młodą, która ukłoniwszy się Panu, przypina mu bukiet kwiecisty, wstęgami przystroiony. Potym dziewczyny prowadzą Pana młodego, który mając podobny w rękę bukiet, zbliża się do Pana; poznaie iego, y z wielkim pomieszaniem cofa się. Pan bawiąc się z Krystyną nie uważa na to. Pan młody stojąc z boku, zaślama sobie czapkę.

KRYSTYNA.

Pozwol nasz Panie, abym ci ofiarowała ten wieniec: nie jest on w prawdzie bogaty, ale ponieważ mam go z ręki moiego oblubieńca, jest dla mnie szacowny, y miły. Racz przyjąć ten szczerzy hold serca moiego.

WALECZNICKI.

O iakże wdzięczna, iak ładna! kocha

chana corko, ten wieniec ktory mi dajesz, jest dla mnie barzo miły, ponieważ czuję, że ta twoja ofiara, którą mi czynisz, jest wielka dla ciebie. Ale gdzie Pan młody? Moy Synu, przyśtań do mnie: czemuż się to kryiesz? Jest widzę bojaźliwy.

BARTEK.

[Drzę cały: o jakiż to przypadek: gdzie się skryję?]

WALECZNICKI.

Bierze go za rękę. Dośćże tego? czego się tu obawiać? twoy los mnie interessuje.

BARTEK,

Pada do nog Walecznickiemu. Ach Mci Dobrodzieiu, jeżeli WM. Pana interessuje los Syna, ktorego nienawidzieć masz przyczynę, niechcieyże karać...

WALECZNICKI.

Wpatruje się w niego przez czas nieiaki nic nie mówiąc. Wszakci to Syn moy, iakem poczciwy, on to... Ha do stu katow: ktoby się spodziewał znaleźć

tu

tu ciebie. Jam rozumiał, żeś w Litwie przy twoim regimencie. Panie Pułkowniku, pięknież to... co to ma znaczyć. Jest tu w tym iakieś nowe głupstwo: O już też mi się uprzykrzyło...

BARTEK.

Jeżeli najwyższa miłość, może być głupstwem nazwana, wyznaję moy Oycze, żeś zaśluził na kary najcięższe: ale też y z tym się oświadczam, że sama śmierć tylko może w mym sercu tę miłość zgłozować, bez ktorey wiek moy, życie moje, będzie ustawiczną dla mnie męczarnią. Jeżeli moy Oycze chcesz tego, abym błogosławił to życie, które mam od ciebie, nie chcieyże być przeciwnym tey szczerey, y czystey miłości...

PIOTREK.

Mos Panie, proszę zaczekać: do ukrzywdzonego pierwey mowić należy. Ociec WM. Pana jest sprawiedliwy, nie może mi tego zabronić. Owoż ta piękna historia, którą WM.

Pan

Pan dla oszukania mnie, o sobie po-
 wiadał! Jakże? Y niewstydzil że
 się WM. Pan na złe używać poufało-
 ści, ubogiego, ale uczciwego człowie-
 ka, który WM. Pana sercem otwar-
 tym przyjął? Jam WM. Panu wy-
 nurzył me zamyśły bez obłudy. Jam
 mu ofiarował moy skarbiedyny y nay-
 droższy Skarb, który mi fortuna zоста-
 wiła: to jest dziecę moię, corkę nay-
 milszą: a WM. Pan pod płaszczykiem
 zmyśloney o sobie historyi, chciałeś
 mię zdradzić, a przez to y corkę mo-
 ię w nieszczęściu pograżyć, y resztę
 słabych dni moich, żołością y gorzko-
 ścią zarazić. Tak jest Mospanie,
 tak, nie ina zey: Daymy to, żeby się
 to nieszczęśliwe małżeństwo skojarzy-
 ło, cożby z tąd wyniknelo? To, że
 Ociec WM. Pana potargalby ten zwią-
 zek nieszczętny: cożby pod ten czas
 czvniła ta biedna, swoiey, y moiey ła-
 twowierności ofiara? Ah nie wiem
 co mię utrzymuie, że nie porywam
 mey szpady, ktorąm niegdyś z hono-
 rem

rem nosił, dla zglądzenia... Ah wy-
 bacz Mci Dobrodzieiu, wybacz tey po-
 rywczosci nieszczęśliwego Starca...
 Chodź ze mną Krystyno, chodź; upa-
 dniemy na twarz przed obliczem
 Tworcy naszego, błogosławiać mu, y
 dzięki iak nayżywle czyniać, że nas
 oboie wyrwał z sideł na zgubę naszą
 zastawionych... WM. Pan zaś Mos-
 panie, nie chciey zacnego Oyca swo-
 lego martwić nie potrzebnemi proź-
 bami, dla otrzymania zezwolenia na
 ten związek, który ani może ani po-
 winien doysć nigdy.

BARTEK,

O Boże! Ah Krystyno!

PIOTREK.

Nie chciey inż WM. Pan rozia-
 trzać mey cierpliwości, która się ie-
 lczce do tąd zachowuie w swych gra-
 nicach przez wzgląd iedynie, który
 mieć powinienem dla godnego Oyca
 WM. Pana.. Idź ze mną moja corko.

BARTEK.

Trzymając zarękę Krystynę. To być
 nie

nie może,.. Ah moy Oycze nie opu-
szczay mnie.

PIOTREK.

O iuż też to nadto: niewytrzymam.:
Słuchayże młody zuchwalcze, chcesz
mi gwałtem wydrzeć moy sekret, o
ktorym nicht nie miał wiedzieć: któż-
kolwiek jesteś, wiedz, żem rowny to-
bie, ale przytym, abyś poznał, iak
się brzydę kłamstwem y obłudą, a ża-
dnego pożytku nieszukam, posłuchay
mey przysięgi, którą tuż czynię, y za-
czynam. Przysięgam, że nigdy cor-
kam oia, nie będzie... *W tym momen-
cie Walecznicki zatyka mu ręką usta.*

WALECZNICKI.

Nie kończ, nie kończ, moy zacny
przyjacielu; ia ciebie o to upraszam.
Chcesz y mnie, y Syna nieszczęśliwe-
mi uczynić. Ja go kocham ieszcze,
choć mię tyle razy swemi postępka-
mi zmartwił. Miłość jest mistrzynią
wielu głupstw, Czy jesteś Szlachcie?

PIOTREK.

Dochodzę ia zamyślow WM. Pana:
ale nie rozumiey WM. Pan, że mię

ułagodzisz: nie Mci Panie. 'Trzymaj WM. Pan co się Podoba o | moim urodzeniu: upewniam, że się nigdy nie dowiesz, kto ja jestem. Mój załczyt cały, być ucziwym człowiekiem, dobrym Oycem, dobrym Obywatelem, a kłamstwa, y obludy nieprzeblaganym nieprzyiacielem.

WALECZNICKI.

Y ja toż samo, mój przyiacielu, y ja toż samo, bądź pewien. Ale czy wiesz co? Ja się stawię na mieyscu tego młodzika, tego to... Obawiał się, abyś go nie poznał: kocha Krystynę: boiażń aby iey nie stracił, wyznając przed tobą swoje urodzenie... Otoż to, to... ja znam... to być musi....

BARTEK.

Ach Mci Panie, żebyś WM. Pan wiedział, jak mię mocno to martwiło, zem nie powiedziało sobie prawdy W. M Panu. serce mi się kraiało. O to niedawno upadłem był do nog Krystyny

D

Chcę

Chcę przed nią wszystko wyiawić,
ale mi przerwali swym niespodzia-
nym przybyciem Włodarz, y Eko-
nom Oycy meiego ..

KRADZIMIR.

Ja mogę na to przyśiądz, że m wi-
dział Jegomci...

WALECZNICKI.

Zgoda Mci Panowie, zgoda! Nu
y coż Mospanie, co na to? Y bę
dzierz że miał serce tak twarde, że
byś ieszcze nie wybaczył memu Sy
nowi?

PIOTREK.

Mnieysza o to: Ja rozumiem, że
Jegomć szczerze żaluie, przebaczam
mu, ale ia już o tym więcey nie my-
śle. Idźmy corko, oddalmy się z tąd.

BARTEK.

Ach Oycze moy ... zginąłem ...

KRYSTYNA.

Zegnam WM, Pana, żyi iścę
śliwie, y kiedy nie kiedy przypomi-
nay sobie, że izacunek, który mlałam
dla

dla iego osoby, nie zaśluzyl...¹ (Ociera
 łzy sobie) Idźmyż... idźmyż moy Oy-
 eze.

WALECZNICKI.

Moment ieszcze moment moy ser-
 deczny przyiacielu, ia cię szczerze
 kocham... Zaklinam cię, powiedz że
 mi, czy iestes Szlachcie? Coż? nie
 odpowiadasz ieszcze? Przynajmniey
 czy z uczciwey, choć mieyskiej po-
 chodzisz familii? Dość mi iednego
 słowa twoiego.

PIOTREK.

Sam niewiem, co się ze mną dzie-
 ie? Dobroć WM. Pana y lzy corki,
 żal syna iego, rozrzewniaią me serce:
 z tym wszystkim nie miey WM. Pan
 nadziei, żebyś się mógł dowiedzieć o
 moim stanie.

WŁODARZ.

Otoz ia, co bądź to bądź powiem
 wszystko, bo wiem. Oy Mei Panie,
 iak wiele mi pięknych rzeczy on na-
 powiedział: przyślągłszy, płakałem iak

bobr. Otoż tak, posłuchaj WM.
Pan. To nie jest Piotrek iak go na-
zywamy, on jest...

PIOTREK,

Ah co czynisz najlepszego? Milcz
mi ...

WALECZNICKI.

Z żywością Coż? nie będziesz mi
mowil?

WŁODARZ.

Będę Mci Panie: czemu nie mam
mówić, kiedy tego potrzeba. To
jest Pan Starosta; Pocziwski imie-
niem, który już to lat dwadzieścia, iak
mi oddał swoje papiery, y mam je w
w skrzyneczce u siebie, abym po jego
śmierci, niech żyje iak najdłużej,
mógł o corce jego dać świadectwo fa-
mili, kiedy tego będzie potrzeba.
Obiecałem to prawda, obiecałem nic nie
mówić, ale teraz niech diabeł milczy.

WALECZNICKI.

Ah to ty podobno przyjacielu, coś
twego Pułkownika na placu położył?
y spra-

y sprawiedliwie: a potym tak znikną-
leś, że o tobie nie można było nigdzie
dopytać się.

PIOTREK.

Jam ieſt, ia.

WALECZNICKI.

Ah prawdziwie on... Niech że cię
uściska, twoy dawny Kollega, y wier-
ny przyjaciel Walecznicki.

PIOTREK.

WM. Pan Walecznicki? Ah moy
przyjacielu, za coż ia cię nie pozna-
łem?

WALECZNICKI.

Za to, za co y ia ciebie niepozna-
łem to ieſt żeśmy przed lat dwudzie-
ſtu, byli żywi, y czerſtwi, a teraz ie-
ſteśmy dziadkowie.

BARTEK.

*Porywa rękę Kryſtyny y całuje ją;
Kryſtyna ją wyrzywa. Ah nieoszacowa-
na Kryſtyno.*

WALECZNICKI.

Patrz Tatusiu, iak się naſza dzia-
twa

two bawi. Ey nie czynmy im trudności: Oni się znają na swoim rze-
mieście.

PIOTREK.

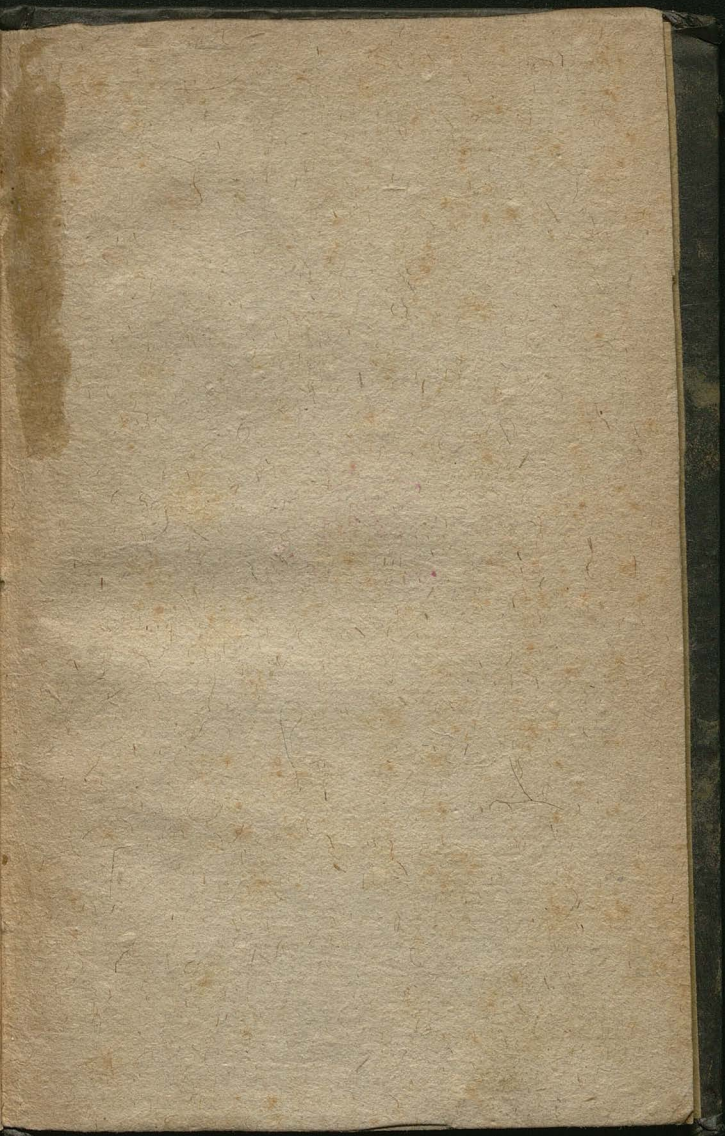
Niewiem czy będzie to z ich do-
brym; ale ponieważ WM, Pan tak
chcesz, ja im nie przeszkadzam.

WALECZNICKI

A wy dziatki, pokłońcież się: oto
tak dobrze, nie trzeba nam lepszey
odpowiedzi. Day Boże szczęśliwie.
Niechże ten dzień będzie dla nas we-
soły: ja znajdę najmilszego mego
przyjaciela, moy syn małżonkę ładną,
a moy przyjaciel tyle dzieci, bo y ja
chcę być z ich liczbą: Wykrzykaj-
myż wszyscy; Vivat nasz Tatuś,

KONIEC.

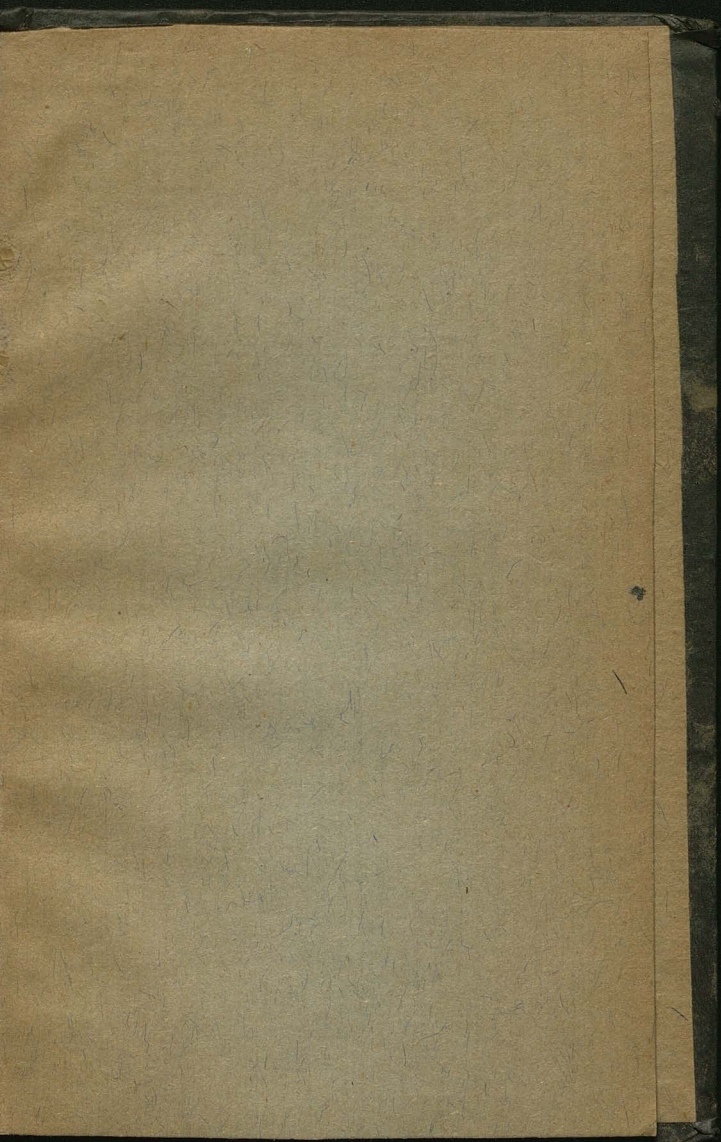


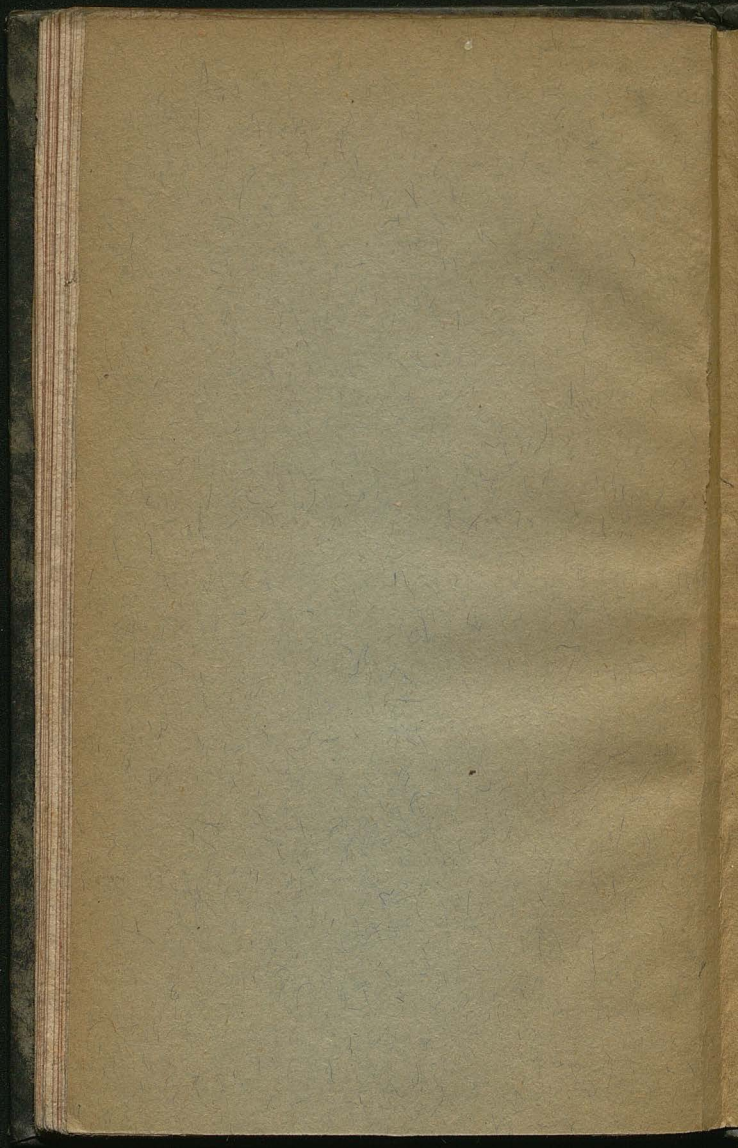


BIBLIOTHECA



URBIS LONONENSIS





Biblioteka Jagiellońska



stdr0027370

